tylko no. 16 ;

06088/1947

Strona 5-ta: G. Boleszczyc — ODPOWIEDŹ DOLNEGO ŚLĄSKA

TYGODNIK POLSKI
THE POLISH WEEKLY

Vol. 5. No. 16 (223) Nowy York, 22 Czerwca — New York, N. Y., June 22, 1947 Cena 20 ct.



Jeden z najpiękniejszych pomników Warszawy — księcia Józefa Poniatowskiego, dłuta Tordwaldsena — został zniszczony przez Niemców. Obecnie Danja ofiarowała stolicy Polski odlew tego pomnika.

WŁODZIMIERZ ONACEWICZ

Wspomnienie o Prezydencie Raczkiewiczu

Śmierć Prezydenta Rzeczypospolitej ś. p. Władysława Raczkiewicza jest bolesnym ciosem dla Polski a w szczególności dla wolnych Polaków przebywających na przymusowej emigracji.

Prezydent Raczkiewicz był nietylko symbolem niepodległej Polski, nietylko konstytucyjną głową państwa, która samem swojem istnieniem zadawała kłam międzynarodowemu uznaniu reżimu moskiewskiego, przemocą narzuconego narodowi polskiemu i opierającemu się na bagnetach rosyjskich; był on także żywym, powszechnie uznanym przywódcą narodu polskiego. Po długiej i zaszczytnej, rozpoczętej w latach młodzieńczych, służbie sprawie niepodległości, został on wysunięty w okresie najtrudniejszym, bo w 1939 na wygnaniu, po dokonanem rozerwaniu Polski przez Niemcy i Rosję, na stanowisko Prezydenta R. P. Przez cały czas wojny stał na czele zbrojnej i politycznej walki o Polskę, odrzucił stanowczo rozbiór Polski dokonany w Jałcie i, pomimo słabnącego zdrowia i pozbawienia go przez Aljantów możliwości wykonywania wysokiego urzędu, wytrwał niezmiennie na swym posterunku aż do chwili, gdy śmierć przecięła jego pracowite i zacne życie.

Pozostawiając innym szczegółową ocenę dzieła życia Prezydenta Raczkiewicza, chcę złożyć skromny hołd jego pamięci spisując trochę wspomnień osobistych o nim jako człowieku, ponieważ był to człowiek niezwykle szlachetny, który powinien przejść do historji nietylko jako bojownik o wielką sprawę, ale także jako piękny typ Polaka, bezbrzeżnie prawy, rycerski, wszechstronnie wykształcony, łagodny i dobry, a jednocześnie wytrwały i stanowczy gdy chodziło o zasady.

Pierwszy raz zetknąłem się z nazwiskiem Raczkiewicza w Petersburgu, gdy w r. 1911 przyjechałem na uniwersytet. Był on znacznie wcześniej prezesem "Polskiej Kuchni Studenckiej", jedynej dozwolonej organizacji studenckiej polskiej w Petersburgu, pod której niewinną nazwą kryły się nielegalne organizacje polityczne i oświatowe. Pamięć o nim, jako o wybitnym i odważnym organizatorze, przetrwała do moich czasów. Został on aresztowany przez żandarmerję rosyjską i po uwolnieniu musiał się przenieść na uniwersytet Dorpacki.

Osobiście po raz pierwszy poznałem go w 1922 w Nowogródku, gdzie był wojewodą. Istniała między nami jakaś daleka więź koligacyjna, więc zwyczajem kresowym złożyłem mu uszanowanie. Był to już bardzo lubiany wojewoda, popularny zarówno wśród chłopów jak miejscowego ziemiaństwa, i pracujący z młodzieńczym zapałem nad zorganizowaniem swego zdewastowanego przez wojnę województwa. I ja naturalnie nie oparłem się urokowi tego ujmującego i bardzo pięknego wysokiego wojewody, który powitał mnie, jakgdybyśmy się znali od kolebki.

W 1925 i 1926 był ministrem spraw wewnętrznych, ale już w drugiej połowie 1926 wrócił na Kresy, jako wojewoda wileński, który to urząd sprawował do r. 1930. Odwiedzałem wielokrotnie państwa Raczkiewiczów w Wilnie.

Sława o wojewodzie Raczkiewiczu, jako znakomitym administratorze, rozeszła się w tym czasie szeroko na Kresach. Rozumiał on doskonale potrzeby duchowe i materjalne swego województwa, pracował wytrwale nad zagospodarowaniem zniszczonego kraju, nad ułożeniem stosunków pomiędzy poszczególnemi warstwami ludności i jednocześnie nad zacieśnieniem więzów pomiędzy tą dzielnicą kresową a centralną Polską, które zaborca rosyjski przez 150 lat starał się bezskutecznie siłą rozdzielić.

Raczkiewicz znał i wyczuwał nasze Kresy jak mało kto. Przed pierwszą wojną światową pracował jako młody adwokat w Mińsku i poznał kłopoty biednej ludności. Jako minister spraw wewnętrznych R. P., uzyskał wgląd w całokształt zagadnień i środków państwowych i wyrobił sobie jasną ideę o miejscu i roli Polski wschodniej w Państwie polskiem. Jako wojewoda, był w ciągłej, bezpośredniej styczności z ludem wiejskim i miejskim. Jego naturalnem dążeniem było wnosić wszędzie spokój i harmonję, i pomagać uciśnionym i potrzebującym, a że robił to umiejętnie i skutecznie, więc popularność jego na wileńszczyźnie rosła niepomiernie. Pracował tak ciężko, że przy swem zawsze delikatnem zdrowiu zemdlał kilka razy na posiedzeniach.

Państwo Raczkiewiczowie mieszkali w starym reprezentacyjnym pałacu wojewódzkim, ale atmosfera domu ich odznaczała się tą samą prostotą, życzliwością i gościnnością, jaka cechuje każdą przeciętną rodzinę kresową. Raz do roku, w karnawale, odbywał się w pałacu wielki bal wojewódzki na cele dobroczynne. Pan wojewoda tradycyjnie otwierał bal polonezem, idąc w pierwszej parze, ale w tym czasie tańczył także ochoczo mazura, i tu mogłem się przekonać, że jego sława z czasów studenckich jako świetnego mazurzysty była dobrze zasłużona.

Państwo Raczkiewiczowie w Wilnie podejmowali wiele znakomitych gości. Jednym z nich był marszałek Piłsudski, który bardzo lubił i cenił Raczkiewicza i zatrzymywał się nieraz u niego w pałacu wojewódzkim. Raczkiewicz także należał do szczerych i oddanych przyjaciół Piłsudskiego. Wszyscy goście, wielcy i mali, byli przyjmowani z równą serdecznością. Ta popularność nakładała nielada ciężar finansowy na domowy budżet, bo pensja wojewody była wówczas nieodpowiednio skromna, ale redukcja w dziale gościnności była napewno najtrudniejszą dla państwa Raczkiewiczów.

Gdy w 1930 Raczkiewicz opuszczał Wilno, by objąć godność marszałka senatu R. P., lament na wileńszczyźnie był nieopisany. W tym czasie stał się już on prawdziwym symbolem Kresów, ich gospodarzem, obrońcą i naturalnym przywódcą, i ludzie nie chcieli się pogodzić z jego wyjazdem do Warszawy. Wiem, że i on wyjeżdżał niechętnie stosując się jednak do życzenia marszałka Piłsudskiego.

Raczkiewicz był marszałkiem senatu od 1930 do 1935. Zwyczajem swoim oddawał się całkowicie swej pracy i znowu wyróżnił się swą umiejętnością godzenia zwaśnionych, uspakajania namiętności i kierowania burzliwych nieraz posiedzeń wysokiej izby na spokojniejsze wody. Jego powaga wzrastała i był on wymieniany jako kandydat na Prezydenta R. P. Gościnny dom państwa Raczkiewiczów był naturalnie pełen wybitnych osobistości, ale nie brakło tam nigdy kresowców, i tych co osiedli w Warszawie na stałe, i tych co przyjeżdżali w odwiedziny. Ulubionym odpoczynkiem Raczkiewicza był wyjazd na polowanie na Kresy i zaszycie się na kilka

dni w puszczy, podchodzenie głuszca, osznurowywanie wilków lub wypatrywanie dzika. Po takim wypadzie wracał odświeżony, wesoły i wzmocniony fizycznie.

Wojna zastała go na stanowisku wojewody pomorskiego. Z trudem uszedł niewoli niemieckiej i dostał się do Paryża, gdzie już 30 września został konstytucyjnym Prezydentem R. P. na skutek ustąpienia uwięzionego w Rumunji Prezydenta Ignacego Mościckiego i wyznaczenia przez niego (na podstawie art. 24 Konstytucji) Raczkiewicza jako następcy.

Po utworzeniu rządu, wspólnie z gen. Sikorskim zajął się przedewszystkiem odtworzeniem armji polskiej we Francji, podobnie jak przed 22 laty, w r. 1917, organizował Wojsko Polskie w Rosji, jako prezes Naczpolu. Dowodziłem w tej armji pułkiem i byłem zbyt zajęty, by móc odwiedzić państwa Raczkiewiczów w Angers, ale raz widziałem Prezydenta we Francji, gdy 1-a dywizja grenadjerów defilowała przed nim i gen. Sikorskim 3 maja 1940 na północ od Nancy. W potokach majowego słońca wyglądał mizernie po przebytem zapaleniu płuc, ale oczy świeciły mu radością na widok dziarsko maszerujących oddziałów polskich.

Jak wiadomo, po upadku Francji przeniósł się w czerwcu z rządem i ocalonymi oddziałami sił zbrojnych polskich do Wielkiej Brytanji, gdzie był powitany osobiście przez króla Jerzego VI. Dotarłem do Anglji znacznie później, w końcu sierpnia, i zaraz zameldowałem się u Prezydenta, który spotkał mnie z otwartemi ramiony. Przez parę wieczorów musiałem opowiadać szczegółowo o walkach 1-ej dywizji grenadjerów na froncie francuskim, o odrzuceniu przez Polaków kapitulacji francuskiej i o przedzieraniu się małemi grupkami i pojedyńczo przez armje niemieckie do Francji nieokupowanej. Prezydent słuchał z największem zainteresowaniem, kazał sobie nieraz powtarzać szczegóły i nazwiska i był widocznie zadowolony z zachowania się naszej armji.

Przez zgórą 7 miesięcy pełniłem służbę w Londynie i byłem dość częstym gościem w domu Prezydenta. Zachowała się tam ta sama prosta i przyjazna atmosfera, którą znałem z czasów wileńskich. Do stołu obiadowego siadało zawsze conajmniej 10 osób, w tem cały niewielki sztab Prezydenta, i jedyny obowiązujący ceremonjał polegał na tem, że Pan Prezydent prowadził gości do pokoju jadalnego i pierwszy siadał do stołu. Przed obiadem kapelan odmawiał krótki pacierz, poczem zaczynała się nieprzymuszona rozmowa, w której Pan Prezydent brał bardzo żywy udział.

Podczas długich miesięcy ciężkiego bombardowania Londynu państwo Raczkiewiczowie nie mieli szczęścia z mieszkaniem. Z początku rząd brytyjski dał im piękną osobną willę w dzielnicy Kensington, która jednak wkrótce znalazła się w środku tak skoncentrowanego bombardowania, że Brytyjczycy prosili Prezydenta o przeniesienie się na Grosvenor Sq. do solidniejszego domu. Jednak niedługo po zainstalowaniu się w tem nowem



Ś. p. Władysław Raczkiewicz

mieszkaniu, bomba niemiecka uderzyła podczas obiadu w sąsiedni dom niszcząc go kompletnie i zarysowując ścianę jadalnego pokoju Prezydentostwa; zabity został przytem chorąży ze sztabu Prezydenta. Trzeba było się przenieść do trzeciego mieszkania. Wszelkie propozycje przeniesienia się poza zagrożone miasto Raczkiewicz stanowczo uchylał ze względu na to, że rząd brytyjski nie opuścił Londynu.

W kwietniu 1941 zostałem wyznaczony na stanowisko atache wojskowego w Washingtonie. Przed moim wyjazdem Prezydent wziął mnie na paregodzinny spacer do Regent's Park. Podczas tej rozmowy wypowiedział on szczerze swój pogląd na położenie sprawy Polski. Było to credo Polaka nie związanego żadnemi przesadami partyjnemi. Wierzył on głęboko w siły narodu polskiego i w odzyskanie niepodległości przez Polskę pomimo ówczesnej groźnej sytuacji wojennej i politycznej. Chciał Polski prawdziwie demokratycznej. Widział ostateczne zwycięstwo Aljantów i przewidywał decydujący w nim udział St. Zj. Niepokoił się bardzo losem tak drogich mu Kresów wschodnich, okupowanych wówczas i niszczonych przez Sowiety (było to na trzy miesiące przed wojną niemiecko-rosyjską). Dając mi szereg ogólnych wskazówek co do mej służby w Ameryce, podkreślał konieczność szczerości i prostolinijności w stosunkach z Aljantami i przyjaciółmi. Na zakończenie, ściskając mą dłoń, prosił bym pisał do niego prywatnie komunikując swoje wrażenia o ustosunkowaniu się opinji publicznej amerykańskiej do Polski, co robiłem przez szereg tych lat.

Ostatni raz widziałem Prezydenta w styczniu 1934, podczas kilkutygodniowego pobytu w Londynie. Poprawił się on świeżo po ciężkim ataku leukemji. Był bardzo blady i piękne posągowe rysy jego twarzy znacznie się zaostrzyły. Wysoka postać nie straciła nic ze swej naturalnej wytworności, ale ruchy były zwolnione i oddech nieco skrępowany. Słyszałem, że w kilka miesięcy później bardzo się poprawił i wzmocnił, ale wówczas sprawiał wrażenie poważnie chorego.

Kazał sobie szczegółowo opowiadać o Ameryce i Polonji. Przerywał czasem pytaniami, które świadczyły o doskonałem poinformowaniu o St. Zj. Gdy mówił sam, często i głęboko ubolewał nad śmiercią gen. Sikorskiego i żalił się, że nie mieliśmy nikogo, kto mógłby go zastąpić na arenie międzynarodowej. O Mikołajczyku, ówczesnym premjerze, wyrażał się ze swą zwykłą życzliwością, pomimo że już wówczas zarysowywały się poważnie różnice pomiędzy nimi. Jego wiara w ostateczny trjumf sprawy Polski w niczem nie osłabła, ale nie ukrywał swej obawy co do wrogiej i zachłannej postawy Rosji. Te rozmowy miały miejsce w parę tygodni po Teheranie, ale nikt jeszcze nie wiedział o fatalnych decyzjach, które tam zapadły.

Wiadomem jest, że gdy dowiedział się o dokonanym nowym rozbiorze Polski w Teheranie i Jałcie, odrzucił

go i wraz z rządem stwierdził, że ta nieprawna decyzja nigdy Polski nie będzie obowiązywać. Oderwanie przemocą od Polski Kresów, do których był tak przywiązany i którym poświęcił tyle najlepszych lat swego życia, było osobistym ciosem dla Władysława Raczkiewicza, ciosem, którego nigdy nie przebolał.

Ze śmiercią Prezydenta Raczkiewicza odszedł nietylko niezmordowany i głęboko zasłużony bojownik o sprawę polską, ale także przedstawiciel najszlachetniejszej duchowej arystokracji narodu polskiego, wyrosłej w walce i wierze, ale także w wysokiej kulturze, kryształowej etyce i cieple rodziny polskiej.

To ta warstwa narodu, nieprzekupna, niezłomna, niepokonana, niezachwiana w swej wierze w stateczny trjumf sprawiedliwości, jest nieubłaganym wrogiem bolszewizmu i wszelkiej tyranji. To tę warstwę stara się zniszczyć dyktatura sowiecka w Polsce, by ściągnąć naród polski wdół, do bagna, w którem został utopiony naród rosyjski. Ale wszystkie wiadomości z Polski świadczą, że to się dyktatorom czerwonym nie udaje, że Polacy uczą się namiętnie i pną się żywiołowo w górę, że cała Polska to jedna szkoła, w której pozostała przy życiu inteligencja uczy resztę chciwej wiedzy ludności. Dlatego wolno wierzyć, że naród polski będzie nadal wydawać Polaków najwyższego typu, do których należał ś. p. Władysław Raczkiewicz.

Władysław Raczkiewicz nie mógł przekazać swemu następcy i długoletniemu przyjacielowi, nowemu Prezydentowi R. P. Augustowi Zaleskiemu terytorjum i złotego skarbu państwowego, bo te są czasowo we władaniu wroga, ale przekazał mu wielką spuściznę moralną i bezcenny skarb krwi przelanej przez naród polski w tej najświeższej i jeszcze niezakończonej walce o niepodległość. Na tej spuściźnie powstanie niezawodnie ponownie wolna Polska.

TYGODNIK POLSKI
is
PUBLISHED WEEKLY
by
TYGODNIK POLSKI
at
157 East 64th Street
New York 21, N. Y.
Tel. Regent 7-4168

Editor:
Jan Lechoń
Adm. and Business Manager
Dr. Leopold Obierek

Subscription
Monthly 80 cents
Half Yearly $4.80 Yearly $9.50

"Entered as second-class matter April 27, 1944 at the post office at New York 1, New York, under the Act of March 3, 1879".

WIKTOR WEINTRAUB

"MÓJ LWÓW" WITTLINA

"Mój Lwów"*), to niewielki tomik wspomnień Wittlina o "jego" Lwowie, Lwowie jego lat pacholęcych i młodzieńczych. Zamykają się te wspomnienia na r. 1922, kiedy to Wittlin opuścił Lwów dla Łodzi, na dobrą jednak sprawę Lwowa z czasów po tamtej wojnie w książeczce jego jest już niewiele. "Mój Lwów" jest opowieścią przedewszystkiem o Lwowie c. k. Galicji i Lodomerji, Lwowie z przed r. 1914, a więc z przed dwóch potopów.

Ale "opowieść" to nie jest w zastosowaniu do tej książki najwłaściwsze słowo. Suggeruje ono narrację, nanizywanie różańca faktów w chronologicznym porządku. Tu wspomnienia puszczone zostały luzem, jak w marzeniach sennych jeden obraz zachodzi na drugi, anegdota ociera się o impresje architektoniczne, znakomitości lwowskiego parnasu mieszają się z postaciami lwowskich dziwaków, warjatów czy "nierządnicy Geni Smoczek", pomniki — z knajpami. Jednolitość całej tej masie wspomnieniowej nadaje dopiero jej nastrój liryczny, albo raczej dwa przeplatające się nastroje. Jeden z nich stale sufluje czytelnikowi, jak piękny, jedyny i do niczego innego w świecie niepodobny był ten Lwów — "kraj lat dziecinnych", a drugi nieustannie przypomina, że ów Lwów należy już do bezpowrotnej przeszłości. Nie jest to więc opowiadanie o Lwowie i nie jest to książka gawędziarsko-opisowa, taka jaką np. było "Bardzo przyjemne miasto" Wasylewskiego. W gruncie rzeczy jest to poemat o Lwowie. Co w tej książce jest naprawdę istotne, to odtworzenie swoistej aury dawnego Lwowa, wyczarowanie jej z poezji lwowskich kościołów i poezji lwowskich nazwisk, z atmosfery starych aptek i nowoczesnego dworca, z zapachów lwowskich knajp. Jeśli by już szukać analogji literackiej dla tej książki, najłatwiej ją znaleźć w "Portraits-souvenirs" Cocteau. I tu i tam mamy opowieść "a batons rompus", nasyconą liryzmem, z obu wieje melancholją mijania, w obu natrafiamy na ten sam stosunek do wspomnień.

Jest jednak w książce Wittlina nuta, której u Cocteau darmo by szukać:

"Dzisiaj i ona i jej ojciec i koncypient-kusiciel to niezawodnie już cienie. Słyszę ich śmiech. Słyszę upiorny klekot kościanych kamyków domina w kawiarniach startych z oblicza ziemi. Duchy gości przywołują duchy pikolaków i każą podawać gazety, w których nic innego nie wydrukowano prócz nie kończących się spisów wymordowanych obywateli miasta Lwowa. Umarli grają w karty, umarli grają w bilard. Na stolach, obitych zielonem suknem, ludzkie czaszki stukają o czaszki, jak bilardowe kule. Cienie kasjerek dzwonią łyżeczkami o metalowe tacki, na których cienie bizanców roznoszą słodki napój zapomnienia".

Krótko mówiąc, chociaż i Cocteau i Wittlin tak samo mają świadomość tego, że swe wiotkie, zwiewne wspomnienia rozsnuwają nad przepaścią nicości, to jednak nicość Wittlina jest inna od tamtej, francuskiej, bo wybrukowana piszczelami pomordowanych w tej wojnie miljonów Żydów i nie-Żydów.

Kilka słów należy się językowi tych wspomnień. Bardzo to sobliwy język. Obok wyrazów uroczystych, niecodziennych, jak choćby zacytowana tu wyżej "nierządnica", obok nowotworów wyraźnie młodopolskiego stempla, jak np. "pełtewny cuch", mamy tu — jak przystało na wspomnienia z cesarsko-królewskich lat — sporo germanizmów, takich jak "grajzlernik" czy "szlusroki". Tego rodzaju miszkulancja różnorodnych elementów językowych łatwo mogła dać straszliwą kakofonję. Tymczasem autorowi "Mojego Lwowa" udało się stworzyć z niej język bogato zorkiestrowany, o swoim własnym rytmie, o nie byle jakiej sile ewokacji lirycznej i pełen szczególnego czaru. Jak to zrobił? — Darmo tego dochodzić. To już tajemnica jego magji poetyckiej. — "Mój Lwów", to par excellence liryczny poemat. I — jeśli recenzenta nie myli pierwsze wrażenie z lektury jednym tchem pochłoniętej książeczki — tej poezji wspomnień, która tak szerokim nurtem rozlała się w naszej literaturze emigracyjnej — powinien zająć honorowe miejsce.

---

*) *Józef Wittlin. Mój Lwów. Nowy Jork. Bibljoteka Polska, 1946; str. 64 i 22 i tabl. 4.*

GŁOS WOLNY Z OJCZYZNY

G. BOLESZCZYC

ODPOWIEDŹ DOLNEGO ŚLĄSKA

Wierzę głęboko, że Polska Emigracja Polityczna na terenie Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanji zaznajomi odpowiednie czynniki zagraniczne o stosunku społeczeństwa polskiego na Dolnym Śląsku do sprawy polskich granic zachodnich i wschodnich, który jednocześnie jest stanowiskiem całego Narodu Polskiego. tą drogą Polska Walcząca podaje do wiadomości ogólnej, treść niniejszego oświadczenia, śląc jednocześnie Polonji Zagranicznej i Emigracji Wojennej braterskie pozdrowienia i słowa zachęty w dalszem trwaniu na powierzonym im odcinku frontu niepodległościowego.

Sprawą utrzymania przy Polsce Ziem Zachodnich w obecnych granicach interesuje się każdy Polak na Dolnym Śląsku, gdyż od tego zależy byt miljonów braci wyrzuconych z Ziem Wschodnich. Polska opinja publiczna jest na punkcie Ziem Zachodnich specjalnie wrażliwa i reaguje ostro na wszelkie zakusy na te ziemie. Kto chce Polaków zrazić sobie ostatecznie, ten niech mówi o rewizji polskiej granicy zachodniej; przeciwnie, kto poprze tą granicę zyska sympatję wdzięczność i poparcie ze strony polskiej.

Oświadczenie Marshalla i Bevina w Moskwie w dniu 9-go kwietnia b. r. było zaskoczeniem dla Polaków na Dolnym Śląsku.

W jaki sposób ustosunkowała się opinja publiczna do oświadczenia Marshalla i Bevina wskazują na to najlepiej wypowiedzi Polaków w czasie dyskusji bezpośrednio po opublikowaniu przez radjo i prasę, tekstu mów ministrów anglosaskich. Dzięki temu, że wypowiedzi te pochodzą z wybuchu żywiołowego i szczerego uczucia, spowodowanego zaskoczeniem, stanowią właściwy obraz opinij publicznej. — Oto one:

"Czy Wrocław, Kładzko, Katowice zostaną przy Polsce?"

"Ja mieszkam w Jeleniej Górze, jak ją oddadzą Niemcom, to ja jadę na Sybir, tam jest moja rodzina — w grobie".

"Ale nas kiwnęli! Wróg nas zniszczył, jeden sojusznik wziął nam Wschód, a drudzy oddają Niemcom Zachod".

"Marshall i Bevin mają większe apetyty na nasz Zachód, tylko wstydzili się to powiedzieć przy Mołotowie".

"Wschodu nie oddają, a Zachód odbierają".

"Stawiam zakład, że Zachód oddadzą, a Wschodu nie zwrócą, a Polska ma miejsce na księżycu".

"Napijmy się wódki, wojna będzie już, bo się nie pogodzili, nie narzekać, wszystko będzie dobrze, bo Sowiety przegrają".

"Kto właściwie był wrogiem Anglji i Ameryki: Polska czy Niemcy? Boję się czy nie przeciągają struny ci Anglicy".



Wykrzywiona nienawiścią twarz Dr. K. Schumachera, przypomina żywo Hitlera i jest groźną przestrogą czego Polska może się spodziewać od Niemiec, którym pozwoli się wrócić do sił.

"Jeżeli chcą się kłócić z Mołotowem, to niech kłócą się o komunistów w Grecji, o Żydów w Palestynie, albo o Indje, a nie o Polskę, na naszą szkodę, wystarczy jak nas już w Jałcie sprzedali".

"Co ja się będę starał, robił i lokował pieniądze, jak to i tak ten Zachód dostaną Niemcy z powrotem".

"Ja chyba stąd wrócę na Wschód i przyjmę obywatelstwo sowieckie". i t. p.

Stwierdzić należy, że oświadczenie Marshalla i Bevina, jest szkodliwe dla Polski, gdyż: 1) stwarza warunki niepewności na Ziemiach Zachodnich, przez co ludzie tracą wszelką chęć do pracy, co odbije się ujemnie na produkcji rolnej i przemysłowej, a w następstwie spowoduje nędzę i głód 2) Przez utratę zaufania do Anglosasów, społeczeństwo polskie staje się podatne na wpływ propagandy sowieckiej w sensie wrogiego nastawienia Narodu Polskiego do mocarstw zachodnich. — 3) Wytwarza nastroje wojenne w związku ze sprawą Polski, co Sowiety wykorzystują dla ujawnienia i wyniszczenia wrogich im elementów w Narodzie Polskim. Już były wypadki aresztowania osób, które cieszyły się, że wojna będzie i Sowiety przegrają. — 4) Rozbudzenie nastrojów odwetowych u Niemców i popieranie ich, rozpęta walkę zbrojną Polski z Niemcami.

W sprawie zamiaru uszczuplenia terytorjalnego Polski, społeczeństwo Dolnego Śląska określa tę sytuację, jako wybitnie krzywdzącą i wrogą. Polska w wojnie przeciw Niemcom stała się świadomie ofiarą dla dobra innych narodów i ideałów ogólnoludzkich, poniosła najcięższe straty w ludziach i majątku i ma prawo żądać dla siebie granic, które zagwarantują jej bezpieczeństwo na przyszłość. Ziemie Zachodnie Naród Polski traktuje jako wynagrodzenie za poniesione straty materjalne w wojnie z Niemcami i jako środek do zapewnienia sobie bezpieczeństwa przed Niemcami.

Równocześnie społeczeństwo Dolnego Śląska domaga się:

1. Zwrotu Ziem Wschodnich, zabranych przemocą przez Rosję za wiedzą i zgodą przedstawicieli Anglji i U.S.A. w Jałcie i Poczdamie.
2. Przeprowadzenie w Polsce wyborów do ciał ustawodawczych zgodnie z zobowiązaniami jakie na siebie wzięły rządy Anglji i U.S.A. w stosunku do Narodu Polskiego.

Społeczeństwo Dolnego Śląska wyraża nadzieję, że rządy U.S.A. i Anglji zaniechają na przyszłość zamiaru rewizji granicy zachodniej i wysiłki swe skierują ku wykonaniu swych zobowiązań względem Narodu Polskiego.

Dolny Śląsk — kwiecień 1947 r.

KRZYSZTOF BACZYŃSKI

(Z "Tygodnika Powszechnego")

RZECZY WAŻNE

OPOWIADANIE

14 stycznia b. r. odprowadzono na warszawski cmentarz wojskowy na Powązkach, zwłoki Krzysztofa Baczyńskiego. Młody ten poeta, podchorąży "Krzysztof" z A. K., zginął z bronią w ręku, walcząc jako uczestnik powstania warszawskiego, w oddziale grupy "Gozdawa", dnia 4 sierpnia 1944 r. na "Reducie Ratusza". Wobec braku relacji świadków, fakt śmierci Krzysztofa Baczyńskiego do niedawna nie był zupełnie pewny, dopiero znalezienie zwłok pozwoliło na ustalenie daty i okoliczności.

Pozostała po Baczyńskim obfita spuścizna poetycka pokazuje nam autora jako postać poetycką najwybitniejszą niewątpliwie czasu wojny i zdumiewająco dojrzałą, mimo młodego wieku (w chwili śmierci Krzysztof Baczyński miał 23 lata), przepełnioną przeczuciem, niemal pewnością nadchodzącej śmierci.

Na trzeciem piętrze okna były otwarte. Przy balkonie siedziała Ludwika wtulona w głęboki, miękki fotel klubowy. Objęła kolana dłońmi. Oczy miała zamknięte. Od Pola Mokotowskiego niósł się zapach śnieżnego mroźnego powietrza. Przez półprzymknięte powieki widziała trzepoczące na lekkim wietrze badyle uwiędłych zeschłych roślin na balkonie. Wiatr wiał lekki teraz, ale ciągły i długi jakby strumień wody i zwiększał się coraz bardziej. Niebo nawisło ciężkie i chmurne. Było coraz chłodniej. Wiatr zawiewał do pokoju płaty białego puchu za progu.

Trochę śniegu upadło Ludwice na nogę. Wstrząsnęła się gwałtownie. — Cóż mnie to obchodzi — jak co dzień, jak ciągle. — To "cóż mnie to obchodzi" stało się dla niej jakby jedyną sentencją jej obecnego życia. Powtarzała je czasem głośno, a ciągle już po cichu, sobie. Pomyślała jeszcze: — Może to nawet lepiej. Prędzej się skończy. Już tak dość tego życia. Ach, zupełnie już dosyć. — Wyobraziła sobie jak mroźne powietrze przenika wraz z oddechem do wnętrza jej piersi i jak zasiewa tam małe ogniste ziarenka. Ziarenka rosną, huczą już płomieniem.

Kamieniała tak w bezruchu, poddając się zupełnie bezwładowi, który z dnia na dzień opanowywał ją coraz bardziej. To wyobrażone zbliżenie się śmierci dawało jej uspokojenie, cichą złą radość. Och, aby już najprędzej.

Pod przymkniętemi powiekami widziała najwyraźniej, jak małe płomyki wypalają w jej wnętrzu dziury, które jak na popalonym papierze brązowieją po bokach i rozszerzają się coraz bardziej. Właściwie widziała nawet nie tyle płuca, co biały papier, biały, palony papier.

Nagle poczuła w boku silne ukłucie. Myśl jej sprężyła się nagle i była tak gwałtowna, że wcisnęła się w usta. Ludwika wyszeptała przerażona: — Boże, cóż ja robię. Przecież on jeszcze żyje. Stefan wróci, a ja tymczasem...

Podniosła się przemarzła, blada i powoli, z pół przymkniętemi jeszcze oczyma zamykała okna.

Teraz usiadła nad otwartą książką przy stole i znużona natychmiast oparła o nią twarz. Po raz tysiączny rozpamiętywała ich życie, krótkie życie wspólne, jakby mogła wynaleźć w nim przyczynę nieszczęścia, jakby niepewna jeszcze była niektórych punktów, jakby te poszukiwania w przeszłości nie były już tyle razy poczynione bez żadnego rezultatu.

Pobrali się półtora roku temu, zaraz po zdobyciu Warszawy. Pamięta dobrze ten kościół z potłuczonymi witrażami i zarysowaną za ołtarzem ścianą. Jakiś wstrząs, czy odłamek pocisku oderwał dłoń od wzniesionego do błogosławieństwa ramienia Chrystusa na głównym ołtarzu. Dziwne to było i wstrząsające.

— Ludwiko, Ludwiko — mówił Stefan — Nie wiem jak powiedzieć to... jak powiedzieć, jak nazwać to szczęście. Jestem po raz pierwszy w życiu naprawdę szczęśliwy.

Każde wielkie szczęście zdaje się pierwszem. Chyba dlatego, że jeśli jest tak mocne i gwałtowne, nie pamięta się o nim długo.

Potem były codzienne prace, codzienne myśli i codzienny chleb. A gorzki jest taki chleb codzienny jeśli nie spożywa się w nim życia ducha natchnienia i nadziei. Chleb powszedni musi być wiarą powszednią, ufnością w światło i bliskich. W Boga i w to co boskie w naszem życiu pielgrzymów na ziemi prochów zbroczonej krwią i zatrutej niepokojem zbrodni. Taki chleb może dać siłę patrzenia w to, co piękne: w ptaka, drzewo, obłoki i miłość człowieczą.

Ale trudno było Ludwice. Tak trudno nie myśleć o troskach codziennych, o domu, o tym nawale nieszczęść, który jak burza gromadził się na drodze i wybuchał. Ciężko, bardzo ciężko nie myśleć.

A Stefan był czasem nieznośny, nieuważny, wymijający w tych sprawach. Taki lekkomyślny. Mówił:

— Nie martw się. Cóż cię to obchodzi. Są ważniejsze sprawy.

Nie mogła znieść obojętności i abnegacji potrzeb życiowych.

Milkła kiedy widziała jego bezradne spojrzenie, ale męczyła się i słabła w niej wiara.

Nie, nie była szczęśliwa. Była znużona. Szczęście nie było pełne, było zatrute tysiącem drobnych przykrości i zmartwień.

A potem w sierpniu... W tym strasznym sierpniu Stefana zabrali. Po prostu przyszli w nocy trzej żołnierze. Jeden odepchnął osłupiałą Ludwikę, aż się zatoczyła pod ścianę. Dwaj pozostali wbiegli do pokoju Stefana. Stefan nie słyszał dzwonka: siedział przy fortepianie i męczył jakąś kompozycję. Właśnie przed chwilą powiedział do Ludwiki:

— Posłuchaj no tego. Zdaje się, że to już gotowe. To jest bardzo podobne do tego, czego, wiesz, wczoraj nie mogłem zupełnie napisać.

— Aha — odpowiedziała sennie z drugiego pokoju — bardzo ładne.

Stefan nie słyszał dzwonka i nagle zerwał się od fortepianu, gdy usłyszał łoskot podkutych butów.

— No, no, — wrzeszczał purpurowy z wściekłości podoficer — prenzej, prenzej.

A gdy Stefan stał nieporuszony, uderzając mechanicznie jednostajnie w jeden klawisz, żołnierz huknął go w piersi kolbą pistoletu.

Polnische Schweine — ryknął nad skulonym z bólu Stefanem — Marsch, marsch! Schnell!

Stefan na chwilę poderwał się i wyprostował. Był wysoki, wyższy od rozwścieczonego żandarma, szerszy niemal dwukrotnie w ramionach. Twarz miał skrzywioną z bólu.

— Ty, ty draniu! — wyszeptał i w tej chwili spojrzał na Ludwikę.

Ręka wzniesiona do uderzenia opadła mu bezwładnie wzdłuż ciała. I

wtedy Ludwika zobaczyła po raz pierwszy w oczach Stefana coś, czego nie widziała nigdy przedtem. Oczy mu się zapadły jakby wklęsły w oczodoły, zrobiły się ciemno-granatowe i jednocześnie stały się beznadziejnie puste. Teraz Ludwika wie: to był strach, zwykły strach.

Potem wszystko stało się tak prędko, że Ludwika usłyszała jeszcze od drzwi głos Stefana: — Kochanie! — i gdy ocknęła się, wzrok jej padł na niedopałek papierosa, który Stefan zostawił na stole. W serwecie wypaliła się wielka, okrągła dziura. Czuć było spaleniznę. Ludwika odruchowo chciała podnieść papieros, ale ręce jej opadły. - Cóż mnie to obchodzi — wyszeptała słowami Stefana. — Przecież to nieważne.

I rzeczywiście. Od tej chwili było jej wszystko jedno. Pracowała ciężko, chodziła do szkoły, uczyła, prowadziła rozmowy z rodzicami uczniów, mechanicznie interesowała się poziomem swojej klasy, ale nic ani na chwilę nie zatrzymywało się w niej. Myślała tylko o jednem. Właściwie męczyła się, wspominała i męczyła się. Rozgrzebywała fragment po fragmencie swoje wspomnienia i albo nie znajdowała w nich nic, albo czuła się winną, tysiąckrotnie winną. Widziała teraz jasno wszystkie swoje winy wobec Stefana, wszystkie drobiazgi, o które tak irytowała się na niego, i stwierdzała po raz setny, że nie warte były nawet słowa. Widziała wszystkie swoje drobne przewiny wobec niego, które teraz zdawały się jej potwornemi zbrodniami. Całe wieczory spędzała bez ruchu siedząc w fotelu przy balkonie i kamieniała z rozpaczy.

Działo się z nią to, co dzieje się z wieloma, którzy stracili bliskiego, ukochanego człowieka. Nie sądziła go zresztą według tamtych dawnych okoliczności ze wspólnego życia, nie pamiętała, że i on nie był bez grzechu, że niejednokrotnie słusznie była dla niego surowa. Widziała tylko jasno, przeraźliwie wyraźnie swoją winę. Płakała. Płacz męczył, łagodził i rano budziła się przeważnie skulona na fotelu, zziębnięta i zupełnie wyczerpana. W mieszkaniu było lodowate zimno. Rano szron osiadał na przedmiotach i herbata zamarzała w szklance.

Ale ona, z odmrożonemi dłońmi, kaszląca ciężko i boleśnie, była zupełnie obojętna.

— Cóż mnie to obchodzi, to nie jest ważne.

Słabła coraz bardziej, traciła siły. Ten rak wyżerający z jej oczu wszystkie biegnące zdarzenia i z jej rąk każdą czynność niekonieczną uczynił ją ślepą, głucha i zabijał powoli, zabijał beznadziejnością.

Pragnęła nadewszystko śmierci. Ale i to było niemożliwe. Myśl, że może, może jednak Stefan wróci i wtedy wróci do czego? Do pustego, wymieciorego domu - czyniła samobójstwo niemożliwem.

Wiatr dzwonił w szyby. Zaczął wiać cienkim, suchym śniegiem, który przedostał się przez nieszczelne, zaniedbane okna. Ściemniło się zupełnie i wszystko za oknem pokryło się jakby mgłą, tumanem suchego śnieżku. Ulica stała się niewidzialna.

Tak trwało już blisko pół roku. Dawno minęło już Boże Narodzenie, rozpaczliwe i smutne.

Z obozu koncentracyjnego przyszła kartka: "Serdeczne życzenia zasyłam ci, najdroższa. Czuję się dobrze. Jestem zdrów i jak najlepszej myśli. Całuję cię. Twój Stefan".

To było wszystko. Więcej miejsca i inne słowa nie były przewidziane przez komendę obozu. Od tej pory nie było już nic więcej. Żadnej wiadomości. Litery na tej kartce, zamazanej teraz łzami i pocałunkami, były chwiejne, pochylone i przypominały ludzi brnących w zadymce śnieżnej. Chorych, zbitych ludzi. — Tak pomyślała Ludwika.

Śnieg narastał warstwą na parapecie okiennym, i znów silny podmuch wiatru rozdmuchiwał usypany biały kopiec i rzucał nową nawałnicę drobnych ziarenek w szyby, dzwonił, huczał.

— Zupełnie jak biały mak — pomyślała Ludwika. — Jak biały mak.

Przypomniała jej się samotna, mroźna noc wigilijna i rozpłakała się nagle dziecinnie jakoś i boleśnie. Potem usnęła.

Schodziła krętymi, ciemnymi schodami. Na stopniach leżała cienka warstwa śniegu. Raz była cieniutka



Sarkofag rycerzy polskich w kościele Franciszkanów w Opolu

jak płótno, to znowu grubiała nagle i zmieniała się w puch wysoki i miękki. Schodziła tak z wielu pięter, a wszędzie drzwi były zamknięte i na nich narysowane niezdarnie kredą postaci ludzkie, które wykrzywiały się do niej jak niegrzeczne dzieciaki dozorcy Wawrzyńca. Ludwika była boso, ale śnieg na schodach był ciepły i miękki w dotyku i z przyjemnością pogrążała w nim stopy.

Na ostatniem piętrze drzwi były otwarte i padała z nich smuga światła. Siedziały tam, umarłe już dawno, matka jej i siostra Bronka. Na stole stała ogromna choinka i widać było pod nią lalki i gospodarstwo porcelanowe. Matka przy fotepianie grała kolędę. Właściwie nie grała, bo nic słychać nie było. Po prostu Ludwika wiedziała, że matka gra.

— To dla ciebie mama przygotowała — powiedziała cicho Bronka i pokazała jej zabawki pod choinką.

Wtedy matka odwróciła się od fortepianu na wykręcanym stołeczku.

— Widzisz, ja wcale nie umarłam — powiedziała. A potem dziwnym, męskim głosem dodała:

— On tu jest też, już od dawna, ale w drugim pokoju.

A potem drzwi się zamknęły i Ludwika schodziła ostrożnie z zaśnieżonych schodów.

Na dole stał stary Wawrzyniec. Powiedział do niej:

— Cii... Cicho. Niech panienka cicho schodzi, bo pan się zbudzi. Pan Stefan przyjechał.

Ludwika zaczęła krzyczeć:

— Gdzie, gdzie on jest, na litość Boga, niech Wawrzyniec powie. No gdzie, gdzie on jest?

Wawrzyniec uśmiechał się martwo i milczał. Wtedy zaczęła trząść nim i prosić:

— No niech Wawrzyniec powie, prędko, prędko.

Zobaczyła nagle, że to nie był dozorca. Trzymała w dłoniach stare swoje futro, które sprzedała zaraz na początku wojny.

Zaczął wyć wiatr i sypał gęsty, ostry śnieg. Ludwika stała boso w bramie i płakała. Wtedy zobaczyła, że ulicą idzie skulona postać. Człowiek ten zbliżał się szybko, wszedł do bramy i wyminął ją.

— Stefek — zawołała.

Ale on nie słyszał. Ze schodów dudniły jego powolne, ciężkie kroki. Był już na górze. Ludwika widziała jak dzwoni uporczywie.

— Boże, Boże, a mnie tam nie ma, mnie tam nigdy już nie będzie — pomyślała drżąc — nigdy.

Dzwonek dzwonił. Ludwika zbudziła się nagle i chciała opędzić się od tego przykrego uczucia, że ktoś dzwoni. Nastała wreszcie cisza. Ale nie, znów dzwoni. Wyraźnie, donośnie.

— Już mi się nie śni — zdecydowała. — Kto to znów męczy o tej porze?

Ociężale podniosła się i podeszła do drzwi. Przez ciężkie deski dębowe słychać było łoskot szalejącej wichury. Otworzyła powoli, obojętnie drzwi. W sieni było ciemno i tylko świst wiatru słychać było bardzo wyraźnie. Z mroku wyłoniła się chwiejna, wysmukła postać.

— Kto to? — spytała Ludwika.

— W jakiej sprawie? — spytała po raz drugi ostro, gdy dojrzała zarośniętą twarz i wymięte ubranie nieznajomego.

— To ja, Ludwiko — odpowiedział jej głęboby drżący głos — To ja.

Postać zgięła się w pół w napadzie kaszlu.

Ludwika nie rozumiała.

Potem, gdy siedział w kuchni, nie dowierzała jeszcze przez długi czas. Gładziła jego ostrzyżoną głowę, kładła dłonie na chropowate, nieogolone policzki i nie wierzyła. Wszystko dziwnie plątało jej się ze snem który miała.

Stefan siedział nieruchomy. Śnieg stopniał na jego cienkiej jesionce i lśnił kropelkami, wbity we włochaty, zielony materjał. Gładził twarz Ludwiki zniszczoną, trudną do domycia ręką i płakał. Oczy błyszczały mu nieprzytomnie, w piersiach grało.

— Ludka kochanie, kochanie — powtarzał jednostajnym głosem, zdławionym przez szloch.

Nie poruszał się.

Śnieg dzwonił cieniutko w szyby i od czasu do czasu wiatr uderzał jakby ogromnym arkuszem blachy na płask o ścianę domu: łoskot wzmagał się, cichł i znów słychać było nikłe dzwonienie ostrych kulek śnieżnych.

Ludka ocknęła się pierwsza z tego bezruchu.

— Stefku, tobie zimno, zdejm to.

Dźwignął się z trudnością, jakby teraz dopiero ostatecznie złamany przejściami ciężkiej drogi. Ludwika zobaczyła w chwili, gdy zdejmowała z niego przemokły płaszcz, że ramiona zawsze szerokie i proste zgięły się do środka jak ogrzany arkusz papieru.

— Głodny jesteś?

— Tak, tak, już od razu chciałem cię prosić... — wyjąkał i nagle jakby zawstydzony umilkł.

— Bardzo głodny, ja od wczoraj rano nic... — dodał jakby z usprawiedliwieniem i znów urwał.

Ludwika krzątała się już po kuchni. Prędko wydobywała resztki zapasów, które leżały w zaniedbaniu blisko pół roku.

— A co byś ty chciał?

— Wszystko jedno, droga, to już jak chcesz.

Czajnik śpiewał cienko i wysokim tonem zlewała się jego kantyczka z poświstem wiatru za oknami.

Ludwika zafrasowała się nagle. Jakże to? Mąka jej zapleśniała, kasza zapleśniała, suchary zjadły myszy. Zostały tylko okruszki.

— Ty taka mizerna jesteś — powiedział wtedy Stefan.

W tej chwili przypomniała sobie, że przez te pół roku prawie nic nie gotowała poza herbatą.

W szafce znalazła tylko pół bochenka chleba.

— Poczekaj, Stefku, skoczę do sąsiadów, bo jakoś nic nie mam w domu.

Zbiegła szybko ze schodów.

— A wiemy, wiemy już, winszuję, z całego serca winszuję — powiedziała pani Rakowska. Spotkałam pani biednego męża jak szedł teraz wieczorem. Tutaj proszę, ależ naturalnie, chleb biały i masełko, może wołowiny, mam na obiad na jutro. Ależ ze szczerego serca, ależ niech pani bierze bez skrupułów... Taka okoliczność... Bardzo, bardzo się cieszę. Zdaje się tylko — chory bardzo... kaszle tak. I poradziła lekarstwo, które kiedyś doskonale zrobiło jej ojcu. Zaczęła obcałowywać Ludwikę.

(Dokończenie nastąpi)

"Tułactwo jest nieszczęściem nie do wypowiedzenia, trzeba go doświadczyć, aby poznać cały ogrom niedoli; nie ma języka, co by go opisał; kryje jednak w sobie coś, co człowieka podnosi, jego siły, jego dzielność wywołuje. W nieszczęściu człowiek zniewolony jest zdać się na los mimowolnie, zmuszony niemocą, niewolą; w tułactwie tułacz jest przecię swobodny, od swej woli zależący, i jest mocen opierać się nieszczęściu, od jego woli zależy nie zdać się na los, który nim miota w tylu zażartych przeciwnościach, i umieć mu czoła stawić... Tułacz w kruchej swobodzie ma nadto obowiązek czynu, wynikający z tego, że jest Polakiem, człowiekiem, i z tego, że go sam na siebie wziął dobrowolnie, z własnej woli idąc na tułactwo, i że dopełniać ma środki i może."

Joachim Lelewel.

Parafja Św. Stanisława B. M. w Nowym Jorku

ST. MARK'S PLACE

Gdy wymęczony wojną i beznadziejnością życia powojennego polski emigrant znajdzie się na St. Mark's Place, ujrzy on w pierwszej chwili tylko szarą, biedną ulicę, bez drapaczy chmur, olśniewających wystaw i aerodynamicznego luksusu dzielnic Nowego Jorku. Jest prawdopodobne jednak, że kiedyś będzie on wspominał właśnie St. Mark's Place jako miejsce, gdzie znalazł on przyjaźń, pomoc i odpoczynek. Pędzony z kraju do kraju w wiecznej pogoni za groszem i za wizą, zgnębiony walką już nie o lepsze życie ale o prawo do życia, Polak znajdzie w tej ubogiej nowojorskiej dzielnicy Biuro Komitetu Pomocy Emigrantom, Polski Dom Narodowy, polską restaurację, polskie organizacje dobroczynne i polityczne, polski kościół, jednem słowem — zorganizowane polskie życie. Otucha wstępuje w skołatane, zmęczone serce.

POLSKI KOŚCIÓŁ PRZY 7-mej ULICY

W tej to szarej i biednej dzielnicy, 75 lat temu, setki Polaków również wypędzonych z ojczyzny przez ówczesnych okupantów, poczęło organizować coś, coby im choćby przypominało życie w dalekiej Polsce. Nie było pomocy i nie było kapitałów, były zato silne ręce, wielki upór i gorąca wiara. Dla tej właśnie szczerej i prostej wiary stworzyli polscy pionierzy w Nowym Jorku najpierw polski kościół — Kościół św. Stanisława. Cóż mówić o trudach, walkach i przeciwnościach, były one wielkie i pozostają nadal — ale zostają przezwyciężane.

Polski kościół na 7-mej ulicy od początku wziął w swoją opiekę całą okoliczną Polonję, skupiał starszych w organizacjach, wychowywał młodzież.

KS. PUŁK. BURANT

Łagodne światło dużej lampy oblewa swym blaskiem jadalny pokój na plebanji przy tym właśnie najstarszym polskim kościele w Nowym Jorku. Panuje atmosfera spokoju, odpoczynku i solidarności — jak w domu rodzinnym. Po chwili wchodzi ks. pułkownik Burant, proboszcz parafji św. Stanisława. Proboszczem jest on tu już od 25 lat.

Ks. pułkownik Burant nie lubi mówić o sobie. Na każde moje pytanie, dotyczące jego osobistej roli, odpowiadał krótko i natychmiast sprowadzał rozmowę do tego co zdziałał ktoś inny, lub też używał zwrotu "zostało zrobione." Nie lubi on słów, i nie ma czasu na słowa. Uznaje on jedną rzecz — czyn.

Pracuje on od wczesnego ranka do późnego wieczora. Pracuje w Komitecie Opieki nad Emigrantami, pracuje na Ellis Island, pracuje w swojej parafji. Idzie do niego każdy kto ma kłopot lub zmartwienie, każdy kogo spotkało nieszczęście. Proboszcz wysłucha, pomyśli chwilę, nie będzie wygłaszał długich mów, zato — pomoże. Pomoże w biedzie i cierpieniu, przestrzeże przed błędem, wskaże drogę, poprowadzi.

SZEROKA DZIAŁALNOŚĆ PARAFJI

Na zapytanie, czy wiele jest trudności w jego pracy społecznej tak w parafji jak i w Komitecie Emigrantów, ks. Burant odpowiedział: "Oczywiście że są trudności, były i są, ale



Ks. Pułk. F. F. Burant

trudności są poto by je przezwyciężać". Potraktował swój wielki wysiłek skromnie, jak coś zwykłego o czem nie warto mówić. Zato, zapytany przezemnie o kluby i stowarzyszenia przy parafji, rozpromienił się, obszernie zaczął mi opowiadać o działalności swoich parafjan. A więc najpierw Klub Oświatowy. Ks. Burant pominął oczywiście fakt, że klubu tego jest on inicjatorem, natomiast bardziej szczegółowo informował mnie o odbywających się tam dwa razy na miesiąc odczytach na tematy historyczne, filozoficzne, o higjenie itd.

"Czy frekwencja jest duża?"

"Oczywiście że tak. Parafjanie moi interesują się wszystkimi ciekawymi tematami, i dobrze rozumieją wartość odczytów".

Przeszliśmy do towarzystw dobroczynnych. Naturalnie, że istnieją one przy parafji, pracują i rozwijają się bardzo pomyślnie. M. in. Towarzystwo Pań Załozieckich, które niesie pomoc biednym i chorym, Towarzystwo im. Heleny Paderewskiej, Towarzystwo Matki Boskiej Częstochowskiej i wiele innych. Parafjanie ks. Buranta czerpią swoje siły na zebraniach w parafji, tam się organizują, tam układają plany dalszej działalności.

MŁODZIEŻ

"A czy są kluby młodzieżowe?"

Młodzież to ukochanie ks. Buranta, jego pupile i przyjaciele. Młodzież polsko-amerykańska gromadzi się w klubach parafjalnych, i tam, pod właściwą opieką, w przyjemnej i wesołej atmosferze, uczy się jak być dobrym katolikiem, dobrym Amerykaninem, dobrym Polakiem — dobrym człowiekiem. Młodzież polsko-amerykańska dlatego właśnie ma tak wielkie zaufanie do swego proboszcza, że czuje iż proboszcz nietylko ją kocha, ale i, co najważniejsze, rozumie.

AKCJA CHARYTATYWNA I PATRJOTYCZNA

Praca wre w Komitecie Opieki nad Uchodzcami, wre w parafji. Wszyscy potrzebujący chcą osobiście widzieć ks. pułkownika, właśnie jego, jemu tylko chcą opowiadać o swych troskach i zmartwieniach, bo on spewnością zrozumie i pomoże. A mimo to ks. pułkownik znajduje czas na oddawanie usług różnym organizacjom. Przed wiecami politycznymi modli się do Najwyższego o błogosławieństwo, poświęca sztandary patrjotycznych związków, kołacze do serc, przemawia do rozumów. Walczy o sprawiedliwość, sprawiedliwość dla wszystkich.

75-LETNI JUBILEUSZ

Niedługo, Kościół Św. Stanisława przy 7-mej ulicy obchodzić będzie swój 75-letni jubileusz. Siedemdziesięt pięć lat ciężkiej i mozolnej pracy, siedemdziesięt pięć lat wierności Bogu i Ojczyźnie. W tem dwadzieścia pięć lat pracy, wysiłków, walki i zwycięstw ks. Buranta.

Wydaje mi się, że ze wszystkich miejsc Kościół św. Stanisława został najlepiej wybrany dla modłów za duszę Prezydenta-wygnańca, modłów o zmiłowanie Boże nad Polską, i o siły do walki o niepodległość, o wolność umęczonego, dalekiego Kraju. Siedemdziesiąt pięć lat temu polskie serca i polska wiara założyły tę świątynię. Przez cały ten czas utrzymywały ją swą pracą i trudem. Teraz modlą się w niej o sprawiedliwość i wolność — Polski i świata. *K. A. S.*

Wolni Polacy na szerokim świecie

BRAZYLJA

Do Brazylji przybył niedawno pierwszy transport wysiedleńców z Europy. Są to głównie Polacy, Ukraińcy i Litwini. Pracę znajdą w rolnictwie — na plantacjach kawy.

* * *

Powstały na jesieni ubiegłego roku Polski Komitet Opieki nad Dzieckiem — oddział Parana, działający w Paranie i Santa Catarinie, wykazuje żywą działalność, organizując pomoc dla dzieci polskich w Polsce i innych krajach Europy. Poprzez sieć licznych mężów zaufania zarząd Komitetu potrafił dotrzeć do najodleglejszych zakątków obu stanów, opierając się zwłaszcza na pomocy tutejszego duchowieństwa.

Do wypróbowanych w dawniejszej akcji zbiórkowej mężów zaufania dołączyli nowi, jedyny w Brazylji tygodnik polski „LUD" użyczył łamów swoich na akcję propagandową, do zarządu wszedł szereg nowych osób i w ten sposób Komitet stanął z nowym rokiem budżetowym do roboty. Zarząd Komitetu z pełnym energji prezesem p. Antonim Domachowskim na czele, postawił sobie za zadanie na ten rok podwojenie sumy, uzyskanej w akcji zbiórkowej w roku zeszłym.

Jeśli wszyscy Polacy w Paranie i S. Catarinie odniosą się do apelów Komitetu w podobny sposób, jak p. Józef Kamiński z Capao Bonito, S. P., który ofiarował się pokrywać przez cały rok koszt audycji Komitetu w ramach polskiego programu radiostacji w Montevideo, wówczas nie ulega wątpliwości, że zarząd cel swój uskuteczni.

FRANCJA

Paryska "Reforme" poświęca wiele miejsca w nrze z 17.5. problemowi wysiedleńców. Jeden obszerny artykuł opisuje całość zagadnienia demograficznie, drugi nawołuje do otworzenia bram Francji dla DPs. Wypowiedziawszy się krytycznie na temat rządowego projektu uprzywilejowania pod względem kolejności imigrantów z Włoch, pismo wzywa do podjęcia żywej akcji na rzecz wpuszczenia do Francji wysiedleńców.

"W Niemczech jakieś osiemset tysięcy uchodźców bałtyckich, ukraińskich i polskich żyje od dwóch lat w oczekiwaniu na dzień, kiedy otworzy się przed nimi zapora dzieląca ich od Zachodu, za którą widzą w marzeniach wolność i pracę. Odmawiają oni powrotu do swych krajów, jak długo rządzą w nich Sowiety".

Pismo — organ protestantów francuskich — domaga się szerokiej fali emigracji w imię tych samych zasad, w imię których przodkowie-hugenoci znaleźli w innych krajach europejskich schronienie przed prześladowaniami.

LIBAN

W Libanie przedstawiciele UNRRA wystąpili z inicjatywą wysłania dwóch przedstawicieli społeczeństwa polskiego do Kraju, by zwiedzili oni Polskę i po powrocie zdali



Prezes Antoni Domachowski

obszerną relację. Miało to zachęcić Polaków mieszkających w Libanie do powrotu. P. Brown, kierowniczka UNRRA na Liban urządziła w szeregu miejscowości zebrania, których zadaniem miało być wybranie owych delegatów — kandydatów na bezpłatną podróż samolotem do Polski. Akcja zupełnie zawiodła. Nie tylko na żadnym z zebrań nie zgodzono się na wybranie delegatów, ale — jak donosi bejruckie pismo "Przelotem" — w wielu miejscowościach powzięto uchwały, że wychodźtwo wróci do Polski tylko z legalnym rządem Rzezypospolitej. — Tych zaś, którzy by bez upoważnienia wybrali się na tą wycieczkę, ostrzeżono z góry, że będą traktowani jako agenci Moskwy. Uzasadniono m. in., że sytuacja polityczna kraju jest dostatecznie znana uchodźtwu oraz że delegaci nie mieliby z pewnością ani możności swobodnego poruszania się ani rozmawiania. W niektórych miejscowościach zebrania zostały poprostu zbojkotowane.

NIEMCY

Na terenie strefy brytyjskiej rozpoczęła działalność bryzylijska misja werbunkowa, która zbiera zgłoszenia wśród wysiedleńców na pracę w różnych zawodach. Według oświadczenia przedstawiciela misji otrzymano zezwolenie od władz brytyjskich na rekrutację, w pierwszym okresie 3 tysięcy osób łącznie z rodzinami. Przedstawione przez misje warunki pracy wydają się zbyt optymistyczne, przez co budza nieufność. Mimo starań ze strony Zjednoczenia Polskiego w strefie brytyjskiej warunki umów nie zostały skonkretyzowane, nie ma również żadnych gwarancji ani rządu brazylijskiego ani IGCR (Międzynarodowego Komitetu dla Spraw Uchodźców).

W związku z tym Prezydium Zjednoczenia Polskiego w strefie brytyjskiej zmuszone jest przestrzec ochotników, iż łatwo mogą się znaleść na terenie Brazylji w niekorzystnych warunkach, bez należytej ochrony i bez możności powrotu, na łasce i niełasce pracodawców. Kandydaci, którzy zdecydują się na wyjazd, muszą mieć świadomość, że decyzję pobierają wyłącznie na własną odpowiedzialność. Zjednoczenie Polskie będzie w dalszym ciągu starało się spowodować gwarancje czynników miarodajnych i w wypadku pozytywnego rozstrzygnięcia podda ewentualnie rewizji swe dotychczasowe stanowisko.

* * *

„Defilada" i „Dziennik Żołnierza" 1 Dyw. Panc. przestały wychodzić ze względu na ewakuacie polskich wojsk okupacyjnych do W. Brytanii. Ostatni numer "Defilady" ukazał się d. 22 maja, a ostatni nr. "Dziennika" — 24 maja br. Oba pisma mają za sobą piękną kartę tak osobliwą, jak osobliwe było polskie życie na obczyźnie w ciągu kilku ostatnich lat.

TU MÓWI AMERYKA!

UN bez Sowietów? W związku z zamachami stanu dokonywanymi przez komunistów na Węgrzech, w Bułgarji, Rumunji i otwartem już zagarnianiem rządów przez garstki miejscowych komunistów — staje się coraz to aktualniejsza sprawa wniesienia sprawy tych komunistycznych gwałtów na forum UN. — Pono w Waszyngtonie liczą się nawet z ewentualnością wystąpienia Sowietów z UN w takim wypadku. Liczą się, ale "mają nadzieję", że to mimo wszystko nie nastąpi...

Pomoc dla Europy. Pomoc amerykańska dla Europy i jej rekonstrukcji, ma — jak mówią — wynosić przez kilka najbliższych lat, po sześć miljardów dolarów rocznie. Jakie kraje, czy też grupy krajów mają tą pomoc otrzymywać — narazie nie wiadomo.

Dziesiątka najpopularniejszych.— Gallup dostarcza społeczeństwu amerykańskiemu wiadomości z najrozmaitszych dziedzin. Ostatnio, ten słynny instytut badania opinji publicznej przeprowadził jeszcze jedno ze swoich popularnych referendum, tym razem na temat: Jakie osoby są najpopularniejsze wśród Amerykan?

W pierwszej dziesiątce znaleźli się kolejno: gen. McArthur, gen. Eisenhower, Churchill, Truman, gen. Marshall, pani Roosevelt, Byrnes, Ojciec Święty, siostra Kenny i gubernator Dewey.

Stalin — biedaczysko — znalazł się aż na 48 miejscu na 58 miejsc notowanych.

Nowa czerwona gwiazda. Tutejsze pisma zwracają uwagę na fotografję, która ukazała się ostatnio na łamach prasy sowieckiej. Widnieje na niej nowa, a stosunkowo mało dotychczas znana społeczeństwu sowieckiemu postać niejakiego Szkiriatowa, wiceprezesa komisji kontroli partji komunistycznej i to stojącego między Stalinem a Mołotowem. Ponieważ w prasie sowieckiej niczego się nie drukuje bez powodu, przeto pełno jest domysłów na temat przyszłej roli Szkiriatowa, łącznie z przypuszczeniami iż może on być ewentualnym następcą Stalina.

Przyjaciel Alaski. Alaska odzielona jedynie cieśniną Beringa od Sowietów, jest celem pielgrzymek tysięcy osiedleńców widzących w niej nową ziemię obiecaną. Mieszkańcy Alaski widząc wielkie lotniska i drogi budowane przez rząd i duży ruch w związku z tem, mówią spoglądając w stronę Sowietów: "Pijmy zdrowie Stalina — największego przyjaciela Alaski".



Stanisław Musiał

Niemniejszy ruch panuje w pobliskiej Syberji...

"Kiedy król nas uwolni?" „Saturday Evening Post" w artykule odsłaniającym nastroje panujące za żelazną kurtyną podaje taki oto fakt:

Ambasador brytyjski w państwie zagarniętym przez Sowiety, w czasie swej podróży zatrzymał się w małej osadzie wskutek defektu auta. W jednej z chat wieśniaczych, gdzie go przyjęto gościnnie, mieszkańcy dowiedziawszy się kim on jest zapytali: "Kiedy król Anglji przyjdzie by nas uwolnić?" I gdy ambasador zastanawiał się nad dyplomatyczną odpowiedzią, najstarszy wiekiem wieśniak oświadczył uroczyście: "Nasza wieś jest bardzo biedna, panie. Ale jeżeli zdoła pan wyzwolić nas od komunistów, to ofiarujemy 50 owiec i 50 kóz."

"Communism In Action". Specjalne biuro badań Kongresu Stanów Zjednoczonych wydało książkę pod tytułem "Communism in action". Stała się ona "bestsellerem", gdyż dotychczas sprzedano jej pół miljona egzemplarzy po 25 centów. — Ameryka otwiera oczy.

Nawet i oni! Po zagarnięciu przez Sowiety wschodnich połaci Finlandji, zaczęła się masowa emigracja fińskiej ludności na zachód. Po tamtej stronie pozostało dosłownie tylko 40 osób. Nawet fińscy komuniści woleli pozostać w Finlandji...

Musiał najlepszy! Tak jak dla mas angielskich football, tak dla Amerykan baseball jest najpopularniejszym sportem emocjonującym miljony. Znani baseballiści są prawdziwemi bohaterami w oczach masy zwolenników tego sportu i to bohaterami świetnie zarabiającymi. Ostatnio tajne głosowanie przeprowadzone wśród kierowników największych klubów baseballowych w Stanach, przyznało palmę pierwszeństwa Stanisławowi Musiałowi znanemu tutaj jako Stan Musial. Polak z pochodzenia, Musiał jest jedną z licznych gwiazd sportowych pochodzących z polskich rodzin i to gwiazd pierwszej wielkości.

W POPRZEDNIM 15 (222) NUMERZE "TYGODNIKA POLSKIEGO"

Jan Lechoń: ś. p. Prezydent Raczkiewicz; Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej August Zaleski; Aleksander Janta: Powrót do Niemiec; Krystyna Strzetelska: "Walczymy, ale siły się kończą"; Konstanty R. Jurgela: Głos Litwina; G. Boleszczyc: Nastroje polityczne w kraju; Kazimierz Zenon Skierski: Okupacja w twórczości Andrzejewskiego i Brandysa; Opinje i zdarzenia: Wolni Polacy na szerokim świecie; Tu mówi Ameryka; Kronika polsko - amerykańska; Kronika katolicka; Z kraju.

OPINJE I ZDARZENIA

PREZYDENT RACZKIEWICZ DO KOŃCA SPEŁNIŁ SWÓJ OBOWIĄZEK

Nadchodzące do nas z Londynu wiadomości, przedstawiają nam dramatyczny i zarazem budujący przebieg ostatnich chwil prezydenta Raczkiewicza, który oddawna trawiony przez beznadziejną chorobę, z całą świadomością zbliżającego się końca czynił wszystko aby zapewnić, zgodne zarówno z Konstytucją jak z interesami sprawy polskiej, funkcjonowanie naczelnych władz Rzeczpospolitej Polskiej.

Wszystkie zapadłe w tej dziedzinie postanowienia powzięte były za własną inicjatywą prezydenta Raczkiewicza, który z całą skrupulatnością prawnika wykonał wszystko aby jego ostatnie akty miały nienaruszalną moc prawną i który sam do ostatniej chwili życia pilnował najdrobniejszych szczegółów, tę moc zabezpieczających.

W ten sposób łagodny i pojednawczy prezydent Raczkiewicz raz jeszcze, jak zawsze w decydujących chwilach swej Prezydentury, okazał się mężem na miarę swego urzędu i przełomowych wydarzeń. To przecież co uczynił dla sprawy polskiej w obliczu śmierci, myśląc już tylko o tem, co nastąpi wtedy gdy jego już nie będzie, niewątpliwie przekracza zwykłą miarę poczucia odpowiedzialności i jest przykładem tego najwyższego oddania się sprawie publicznej, tego zaparcienia o sobie, które starożytni nazywali "rzymską cnotą".

Prezydent Raczkiewicz, przekazując swój urząd tak niezwykle przygotowanemu do jego pełnienia panu Augustowi Zaleskiemu — uczynił zarazem wykonawcami swego testamentu prezesa Najwyższej Izby kontroli Państwa Tadeusza Tomaszewskiego i generała Andersa.

Prezes Tomaszewski wybitny prawnik, wierny ideałom młodości i czynny socjalista, jest gwarantem konstytucyjności ostatniej woli zmarłego i najgłębiej pojętej demokratyczności, która cechowała wszystkie akty państwowe nieboszczyka. Osoba generała Andersa podkreśla nierozerwalny związek władz naczelnych Rzeczypospolitej z siłami zbrojnemi, których los dzisiejszy, wierzmy wszyscy, jest tymczasowy i którym powinny być oddane ich zasłużona broń i bohaterskie polskie sztandary.

Istnienie polskiego rządu na emigracji oparte jest o ścisłe przestrzeganie postanowień Konstytucji, które pozwoliły na jego działalność w czasie wojny, na uznawanie go przez Aljantów i które są niezwykle silną bronią naszą w walce z narzuconą dziś Polsce obcą, zdradziecką władzą.

Te postanowienia Konstytucji — stoją dziś z całą swą siłą za prezydentem Zaleskim, który według naszej opinji ze wszystkich znajdujących się na emigracji działaczy politycznych najlepiej nadaje się do sprawowania tego najwyższego urzędu.

Jakiekolwiek jednak byłyby różnych Polaków pod tym względem opinje i pretensje — najważniejsze jest to, że prezydent Zaleski jest prezydentem konstytucyjnym i dlatego kto chce aby rząd polski na emigracji istniał, kto rozumie konieczność podkreślenia w ten sposób nielegalności wszystkiego co się w Polsce dzieje, konieczność walki o "Polskę według woli Polaków", musi tem samem dać swemi słowami i działaniem pełne poparcie nowemu, prawowitemu Prezydentowi. Wierzymy, też, że różne przejściowe partyjne burze i kwasy, nieodłączne wszędzie na świecie od zmian personalnych, ucichną jaknajszybciej pod nakazem tyczącej nas wszystkich, jednej dla wszystkich Polaków racji stanu.

Prezydent Raczkiewicz od wielu lat ciężko chory, nie mógł z tego choćby powodu przestawić swej działalności na nowe tory, zastosowane do wymagań nowych warunków. Mamy nadzieję, że prezydent Zaleski pojmie swoją rolę, jako rolę aktywnego przywódcy wszystkich prac niepodległościowych, podejmowanych przez walczącą emigrację, że pracom tym nada wspólny kierunek i otoczy je opieką.

Jest to stara prawda, że w pewnych okolicznościach drobne sprawy nabierają wielkiego znaczenia i stają się ważnemi symbolami. Kiedyś siostry Napoleona miały się pierwszy raz pokazać publicznie w urzędowej roli — Napoleon sam zajmował się sprawą ich sukien, wiedząc, że źle ubrane Eliza i Karolina mogą go ośmieszyć.

Uważamy też za dowód doskonałego instynktu prezydenta Zaleskiego, który słynie z tego, że nie lubi się śpieszyć iż tym razem pośpieszył się z odpowiedzią na depesze, czując, iż będzie to zrozumiane jako dowód jego sprawności i woli koniecznego dziś na stanowisku Prezydenta działania.

DOBRY POCZĄTEK

Prezydent Zaleski w dwadzieścia cztery godziny po otrzymaniu depesz ze Stanów Zjednoczonych, które imieniem różnych organizacji polskich i polsko-amerykańskich witały go na jego wysokim urzędzie — nadesłał wszystkim gratulantom obszerne i niebanalne naogół depesze z podziękowaniem.

W tym drobnym napozór fakcie chcemy widzieć zapowiedź sprawnego i pełnego inicjatywy funkcjonowania biur Prezydentury a przedewszystkiem zamiaru pana Prezydenta rozwinięcia prawdziwej działalności na stanowisku, na którem działać można i należy choć oczywiście w odmienny niż za wojennych czasów sposób.

POWAŻNY ALE NIE UROCZYSTY

Prezydent Zaleski należy do tych bardzo rzadkich Polaków, którzy są naprawdę poważni ale nie są solenni. Jego poczucie dowcipu, zamiłowanie do dowcipu jest przysłowiowe i za czasów swego Ministerstwa w Polsce, dzisiejszy Prezydent był nietylko najwdzięczniejszym czytelnikiem "Cyrulika warszawskiego" ale przedewszystkiem najlepszym odbiorcą dowcipów i karykatur, tyczących się jego osoby.

Ta cecha umysłu i usposobienia prezydenta Zaleskiego — jest napewno jedną z solidnych podstaw jego politycznego talentu i powodem jego sukcesów w zetknięciu z obcemi.

Polak bez poczucia humoru, od rana uroczysty, zawsze zagniewany, zawsze przekonany, że go ktoś chce obrazić, nie umiejący mówić o niczem innem tylko o tem co jego obchodzi, przerażający zgóry swych rozmówców trudnością tego, co chce wyłożyć czy załatwić — jest, niestety, Polakiem, z którym zagranica najczęściej się styka i według którego sądzi nasz naród, sądzi najnieistotniej jako naród tępych, nieżyczliwych i ponurych nudziarzy.

Mało się w Polsce wie o tem, że najwięksi przywódcy polityczni polscy byli właśnie obdarzeni wyjątkowym poczuciem humoru, że np. Józef Piłsudski, którego życie było tak patetyczne — zawsze, zwłaszcza zaś gdy mówił z cudzoziemcami, miał do dyspozycji albo konieczne porównanie, albo pełne humoru wspomnienie albo przez siebie wymyślony "kawał". Gdyby Piłsudski

w codziennej rozmowie stawał na poziomie patosu swych czynów — byłby poprostu nieznośny, tymczasem wszyscy którzy zbliżali się do niego z obawą, zawsze zjednywani byli głęboką ludzkością, naturalnością i wspaniałym humorem jego słów i obejścia.

Tak samo cenił dowcip, świetnie go używał, był niezrównanym rozmówcą Paderewski, niezwykłym dowcipem obdarzony był Daszyński. Z pośród dziś w Polsce działających przywódców narodowych Kardynał Sapieha ma nie tylko niezwykłe poczucie humoru ale i bajeczny dar imitacji, którym często popisywał się w wybranym gronie.

Prezydent Zaleski będzie miał do czynienia w swej działalności głównie z anglosasami, którzy instynktownie nie znoszą uroczystego tonu i którzy w żadnej sytuacji nie tracą poczucia śmieszności. W tem obcowaniu nowy Prezydent będzie wspierany zarówno przez swój przysłowiowy spokój, przez jakże rzadką wśród Polaków umiejętność słuchania, przez jakże drogi Anglikom i Amerykanom "common sense" ale również przez instynkt humoru, wrodzony mu i kultywowany na najlepszych warszawskich kawałach.

"NAGY W POKRZYWACH"

To co się stało na Węgrzech jest to próbka tego coby się stało gdyby pan Mikołajczyk a nie Osóbka czy Cyrankiewicz został premjerem w Polsce i gdyby stronnictwo ludowe — wzięło w swe ręce rządy w kraju nie na podstawie naprawdę wolnych wyborów ale na podstawie szachrajstwa jałtańskiego, które p. Mikołajczyk gotów był uznać za gwarancję i podstawę demokratyczności polskiego ustroju. Czy ów nieszczęsny Mikołajczyk objąłby władzę sam, czy dzieliłby ją z komunistami, przez sam fakt przyjęcia jej z rąk Moskwy, uznania zwierzchności Bieruta — oddałby się pod kontrolę Lebiediewa i mógłby wykonywać tylko to na co ambasada sowiecka dałaby mu pozwolenie To, co się stało w Budapeszcie jest potwierdzeniem wielokrotnie przez nas głoszonej tezy, że żadne ustępstwa dla Rosji, żadne akty dobrej względem niej woli nie mogłyby odmienić i nie odmienią jej zamiaru panowania w Polsce, zniszczenia faktycznej polskiej niepodległości. I gdyby pan Mikołajczyk, nie namyślając się i nie wachając, odrazu poszedł na zaproszenie moskiewskie i wjechał jako premjer a nie jeden z wice-premjerów do Polski — wcześniej czy później spotkałoby go to, co parę dni temu jego węgierskiego kolegę - ludowca.

I wcześniej czy później pan Mikołajczyk w rezultacie swego poddania się Rosji musiałby się czuć, że sparafrazujemy tu stare polskie przysłowie jak "Nagy w pokrzywach".

NASZ ZNAKOMITY KREWNY

Wice-hrabia Mountbatten, niewątpliwie najpopularniejszy dziś człowiek w Anglji, któryześrodkował na sobie zarazem te uczucia, któremi niegdyś darzyli Anglicy — księcia Walji (obecnego ks. Windsoru) i ten głęboki szacunek, jaki zdobył w czasie wojny Churchill, jest naszym bliskim krewnym, "naszym" to znaczy się nas, Polaków.

Pokrewieństwo to jest tem solidniejsze, że nazwisko Battenberg, zamienione w czasie poprzedniej wojny na Mountbatten — pojawia się w r. 1851 jako tytuł nadany Polce, hrabiance Julji Teresie Hauke i jej dzieciom z morganatycznego małżeństwa z księciem Aleksandrem Heskim, że więc cała rodzina Mountbattenów i samo nazwisko — pochodzi od tej Polki.

Panna Julja Hauke była córką generała wojsk polskich Maurycego Haukego, który poległ w noc listopadową z rąk tłumu, ale któremu surowy Askenazy wystawia świadectwo jako dobremu Polakowi. Była też kuzynką sławnego z roku 1863 przywódcy powstańczego Bosaka-Haukego.

Małżeństwo zawarte przez pannę Hauke dało początek rodzinie, która ponad swe urodzenie zasłynęła i zrobiła swego rodzaju fantastyczną karjerę. Z pięciorga dzieci Julji Hauke z księciem Aleksandrem Hesse - Nassau — najstarszy, Aleksander Battenberg był pierwszym panującym księciem bułgarskim, pozbawionym tronu za opór Rosji, drugi, ojciec obecnego lorda Mauntbattena — Ludwik Aleksander markiz of Milford-Haven był admirałem floty brytyjskiej w czasie poprzedniej wojny, trzeci Henryk poślubił córkę królowej Wiktorji — Beatrycze i był ojcem królowej hiszpańskiej.

W prostej więc linji od pięknej Polki pochodzą — obecny lord Mountbatbatten, jego siostra Ludwika Księżna Skanji, następczyni tronu szwedzkiego i jego siostrzeniec por. Filip Mountbatten, prawdopodobnie przyszły Książę - Małżonek angielski i obecny pretendent do tronu hiszpańskiego Don Juan, czyli że według wszelkiego prawdopodobieńswa potomkowie Julji Hauke, będą zasiadać z czasem na tronie angielskim i hiszpańskim. Tylu Polaków teraz znajduje się w fatalnych warunkach, że dobrze jest przypomnieć sobie, że czasami Polacy a zwłaszcza Polki zrobili nienajgorsze karjery.

JESZCZE NIE STARY

Odwieczny Solski, który ciągle gra na różnych scenach w Polsce, tłukąc się niezmordowanie od Warszawy do Katowic i od Katowic do Krakowa, bardzo podobno sumiennie pilnuje swych honorarjów, każe sobie słono płacić.

Gdy ktoś zapytał Solskiego, na co gromadzi tyle pieniędzy, niestrapiony staruch odpowiedział: "Mam pewne projekty na starość, która zaczyna się zbliżać."

WSZYSTKICH PRENUMERATORÓW I PRZYJACIÓŁ KTÓRZY JESZCZE NIE PRENUMERUJĄ "TYGODNIKA POLSKIEGO" GORĄCO PROSIMY O JAKNAJSZYBSZE WPŁACENIE PRENUMERATY ZA ROK 1947

KAŻDY NOWY PRENUMERATOR UMACNIA BYT "TYGODNIKA POLSKIEGO"

KRONIKA POLSKO-AMERYKAŃSKA

"...ŚWIAT NIGDY NIE ZAPOMNI..."

Dnia 14 czerwca odprawiona została w kościele św. Stanisława przy East 7ej ulicy w Nowym Jorku pontyfikalna suma za duszę Prezydenta Rzeczypospolnej Polskiej śp. Władysława Raczkiewicza. Nabożeństwu prezydował arcybiskup archidiecezji nowojorskiej ks. kardynał Fr. Spellman. Sumę celebrował proboszcz parafji św. Stanisława ks. pułk. Burant w asyście djakona ks. Fr. Tyczkowskiego i subdjakona ks. Makulca.

Punktualnie o 11:30 wprowadzono kardynała Spellmana w procesji do kościoła św. Stanisława. Za kardynałem kroczyło 6 prałatów i przeszło 20 księży z prawie wszystkich polskich parafij. Procesję zamykały sztandary organizacyj kościelnych i świeckich.

Podczas nabożeństwa śpiewał chór parafjalny św. Stanisława oraz chór reprezentacyjny Okr. 7-go Związku Śpiewaków Polskich w Ameryce.

Pod koniec sumy przemówił do zebranych ks. kardynał Spellman. Oto fragmenty tego przemówienia

"Przybyłem tu, by jako obywatel amerykański wyrazić hołd i podziw przywódcy wielkiego narodu, narodu, który był naszym sojusznikiem, zarówno podczas wojny, jak i przed wojną . . . Świat nigdy nie zapomni olbrzymich ofiar Polski, złożonych na ołtarzu zwycięstwa . . . Danem mi było osobiście podziwiać Polaków na wygnaniu, ich bohaterstwo i odwagę, ich determinację oddania wszystkiego, byle wywalczyć wolność i zwycięstwo dla całego świata . . . Jestem tu, jako ksiądz i arcybiskup Nowego Jorku, by dzielić waszą głęboką żałobę i zanosić do Boga modły za spokój duszy czcigodnego Przywódcy Narodu Polskiego, by wspólnie modlić się o to, aby Zbawiciel zezwolił nam doczekać się dni, gdy sprawiedliwość i wolność przypadnie wszystkim w udziale, wszystkim — w tem i Polsce".

W kościele św. Stanisława było przeszło 1,000 osób, drugie tyle zebrało się przed świątynią.

"...URATOWANIE TYCH LUDZI JEST NASZYM MORALNYM OBOWIĄZKIEM..."

Prezes Kongresu Polonji Amerykańskiej, Karol Rozmarek, zaproszony przez podkomisję imigracyjną Izby Reprezentantów, na przesłuchy w sprawie billu Strattona, zeznawał dn. 14 bm. w Kongresie Stanów Zjednoczonych. W imieniu sześciu miljonów Amerykanów polskiego pochodzenia, zrzeszonych w Kongresie Polonji, Rozmarek wezwał kongresmanów do uchwalenia tego billu, gdyż jak zaznaczył, przeprowadzenie go pozwoli na wpuszczenie do Ameryki w następnych 4 latach 400,000 wysiedleńców (DP), nie mogących powrócić do swych krajow, okupowanych przez Sowiety, tem samem wprowadzi w życie akcję humanitarną, od której Ameryka uchylać się nie może.

"Skonstatowaliśmy w Niemczech— mówił prezes Rozmarek—że UNRRA, zorganizowana jako instytucja miłosierdzia, stała się narzędziem prześladowania i polityczną bronią Rosji sowieckiej. UNRRA, utrzymywana głowne przez fundusze amerykańskie wyrządziła większą szkodę dobremu imieniu Ameryki niż wszelka wroga propaganda".

Rozmarek zażądał również, aby na mocy bill'u Strattona i żołnierze polscy zostali dopuszczeni do Ameryki.

"Uratowanie tych ludzi jest naszym moralnym obowiązkiem" — kończył swe przemówienie prezes Rozmarek. "Ameryka powinna dać piękny przykład innym krajom przez otwarcie swych drzwi odpowiedniej liczbie tych nieszczęśliwców. Ilość osób, która mogłaby przybyć do Stanów Zjed. na podstawie bill'u Strattona, nawet po dołączeniu żołnierzy polskich, będzie o wiele mniejsza od ilości imigrantów, którzyby przybyli do Ameryki, gdyby nie było ostatniej wojny."

W kilku słowach

Głównym marszałkiem Parady Pułaskiego, która odbędzie się w tym roku w dniu 5 października na 5-ej Ave. w Nowym Jorku, wybrany został jeden z pierwszych członków Komitetu Wykonawczego, młody, energiczny działacz społeczny i organizacyjny, Stefan J. Kopyciński z Jersey City.

* * *

VI-ty walny zjazd Ligi Morskiej odbędzie się 30-go, 31-go sierpnia i 1-go września 1947 r. w Hamtramck, Mich.

* * *

Zlot okręgowy Sokołów i Sokolic 1-go Okręgu Sokolstwa w Ameryce odbędzie się w dniach 4, 5 i 6 lipca na Polance Sokołów w Sommerville.

* * *

Posiedzenie roczne Okręgu Wschodniego, Zjednoczenia Kapłanów Polskich odbyło się w hotelu Mc Alpin w Nowym Jorku.

Na pierwszem miejscu omawiano wielki problem kampanji zbiórki dwunastu i pół miljona dolarów American Relief for Poland.

W sprawie polskich wysiedleńców przebywających obecnie w Niemczech przemawiał p. A. Ronikier.

Ks. Pułk. F. Burant zdał sprawozdanie z pracy Okręgu 25 Rady Polonji jako prezes a następnie zabierał głos w sprawie Komitetu Imigracyjnego.

Za pracę w Okręgu 25 i w Komitecie Imigracyjnym złożono Ks. prob. Burantowi słowa gorącego uznania.

WIECZÓR MICKIEWICZOWSKI

W teatrze McMillin na Uniwersytecie Columbia w New Yorku staraniem Klubu Polskiego, którego patronami są prof. Arthur Coleman i jego małżonka pani Marion Moore-Coleman, odbył się Wieczór Mickiewiczowski, który zgromadził około 700 osób, przeważne młode pokolenie amerykanów polskiego pochodzenia jako też Amerykanów interesujących się kulturą polską.

Oprocz Polonji z metropolji i stanu New Jersey, przybyły dość liczne delegacje z różnych miejscowości z Nowej Anglji, oraz z Pennsylvanji.

"Wieczór Mickiewiczowski" urządzony został z okazji wydania przez Klub Polski przy Uniwersytecie książki opracowanej przez panią Marion Moore-Coleman, p. t. "Mickiewicz in Music" do którego ilustracje wykonały członkinie Polskiego Klubu, Stanisława Kamińska-Kurecka, Stanisława Brozza, Helena Grot i Maria Waszko.

Przewodniczył prof. Coleman, a przemówienia okolicznościowe wygłosili pani Coleman i p. Henryk Nagórka, młody muzyk i kompozytor. W części koncertowej wystąpiła doskonała śpiewaczka p. Maria Downarowicz-Davendish, która odśpiewała szereg pieśni napisanych na tle poezji Mickiewicza, tak przez kompozytorów polskich jak i obcych.

POPIERAJCIE KONGRES POLONJI!

CONNECTICUT ZBIERZE 500,000 DOLARÓW NA POMOC POLSCE

W Hartford, Conn., odbyło się wielkie zebranie w Bushnell Memorial Hall, zwołane z racji rozpoczęcia w Connecticut kampanji zbiórkowej na pomoc Polsce, na które przybyło zgórą 2,000 osób.

Mowę programową wygłosił Franciszek X. Świetlik, prezes Rady Polonji Amerykańskiej. W kampanji, jaka będzie przeprowadzona w Conecticut ma być zebrane $500,000 w pieniądzach i odzieży na pomoc cierpiącym mieszkańcom Polski.

Przedstawiając Polskę jako najtragiczniejsze państwo ze wszystkich, cenzor Świetlik apelolwał do dwustu tysięcy obywateli polskiego pochodzenia w Connecticut i do mieszkańców nie-polskiego pochodzena o pomoc — stwierdzając, iż nie możemy Polski ukrzyżować za to, że wbrew woli narodu ma rząd narzucony jej przez obce mocarstwo.

Do apelu cenzora Świetlika przyłączyła się pani Clare Boothe Luce, była kongresmanka z Connecticut, która owiadczyła, że zdradzenie Polski przez Amerykę, jest najhaniebniejszym rozdziałem historii Stanów Zjednoczonych i nawoływała mieszkańców Connecticut do niesienia pomocy narodowi polskiemu w jego ciężkim położeniu

Przemawiał również Stanton Griffis, nowy ambasador amerykański do Warszawy i były dyrektor OPA Chester Bowles.

Z POLSKO AMERYKAŃSKIEGO ZJAZDU ŚPIEWACZEGO

W Nowym Jorku odbył się 28-my ogólnokrajowy zjazd Związku Śpiewaków Polskich w Ameryce. W zjeździe wzięło udział 132 delegatów i około tysiąca gości.

Nowym prezesem Związku Śpiewaków Polskich Ameryce wybrany został Stefan Markowski, prezes Chóru Moniuszko z So. Brooklyna.

W myśl jednogłośnej uchwały siedziba organizacji i zarządu głównego przeniesiona została z Chicago do Nowego Jorku.

W czasie zjazdu odbył się konkurs chórów. Do zawodów stanęło 10 chórów żeńskich, 4 chóry męskie i 6 mieszanych.

Pierwszą nagrodę z pośród 10 chórów żeńskich zdobyła "Arfa" z Passaic (dyr. T. Sennert).

Pierwszą nagrodę z pośród chórów męskich zdobyło "Kółko Filaretów" z Utica, N. Y. (puhary ofiarowane przez Polski Dom Narodowy w Nowym Jorku i Centralę Polskich Towarzystw w Nowym Jorku.).

Pierwszą nagrodę z pośród chórów mieszanych przyznano "Filharmonii" z New York Mills, N. Y. (puhar Kongresu Polonji Amer.)

KĄCIK FILATELISTYCZNY

Wprowadzając dział filatelistyczny, który poświęcony będzie wyłącznie filatelistyce polskiej, czynimy to w oparciu o świadomość, że istnieje w Stanach Zjednoczonych wielka ilość zbieraczy polskich znaczków. Dział nasz służyć ma omawianiu tematów związanych z historją i dzisiejszością polskiej filatelistyki, oraz z zagadnieniami mogącymi interesować zbieraczy. Mamy nadzieję, że stanie się on miejscem wymiany informacji o filatelistyce polskiej, o istniejących związkach filatelistów i ich działalności, a także, że ułatwi im kontakt. Prosimy naszych czytelników o nadsyłanie nam swoich spostrzeżeń, uwag i wiadomości, mogących interesować filatelistów polskich na emigracji.

Na międzynarodowej wystawie filatelistycznej, odbytej w Nowym Jorku między 17 i 25 maja z okazji 100-lecia pierwszych znaczków poczty Stanów Zjednoczonych, Polska reprezentowana była niestety bardzo słabo. Zwracała uwagę jedynie piękna kolekcja pierwszego polskiego znaczka (z r. 1860) która też otrzymała trzecią nagrodę. Zapowiedziany w katalogu pokaz zbioru wydań krakowskich Myrona Steczyńskiego niestety nie doszedł na czas i zarezerwowane dla niego ramy wypełnione zostały czem innem. Organizacja wystawy zresztą bardzo bogatej, również pozostawiała wiele do życzenia. Zgrupowanie eksponatów, często przypadkowe, utrudniało rozejrzenie się w specjalnościach, mogących interesować poszczególnych kolekcjonerów, a katalog wyczerpany został na drugi dzień wystawy. Należy wyrazić żal, że mimo istnienia w Stanach Zjednoczonych tak poważnej organizacji filatelistów, jaką jest Polonus z Chicago, nie podjęto naprzykład myśli pokazania polskiego wysiłku wojennego i wkładu do zwycięstwa przy pomocy znaczków polskiej poczty podziemnej, poczt jenieckich w Niemczech, poczt polowych pierwszego i drugiego korpusu, a wreszcie także wydań londyńskich, szwajcarskich i armji polskiej w Rosji.

Pokazano nam przywiezioną z Polski serję trzech znaczków poczty podziemnej z podobiznami Churchilla, Roosevelta i Raczkiewicza. Żaden z oficjalnych katalogów w kraju (Gryżewski i Łaszowski) nie wspomina o tej serji ani słowem

Ukazał się w Londynie pierwszy numer miesięcznika "Wiadomości Filatelistyczne". Jest to, obok wydawanego regularnie biuletynu Towarzystwa Filatelistycznego Polonus w Chicago, druga publikacja poświęcona filatelistyce polskiej, a ukazująca się poza krajem.

W Polsce ukazał się znaczek 20 zł. z podobizną Adama Mickiewicza. Jest to pierwszy znaczek polski poświęcony pamięci wieszcza. W r. 1927 Polska Poczta wydała znaczek z profilem Juljusza Słowackiego. Natomiast wydany obecnie znaczek 3 zł. z Chopinem poprzedzony był w roku 1927 40-gr. znaczkiem.

W kolekcji znaczków polskich postacią historyczną, którą na znaczkach spotyka się najczęściej jest Józef Piłsudski.

Znaczki wydawane obecnie w kraju zarówno estetycznie i pod względem techniki należą wciąż jeszcze do rzędu najbrzydszych znaczków, jakie wyprodukowano po wojnie, przyczem wiele z nich przypomina sowieckie wzory i odznacza się prymitywną chęcią imponowania zarówno wymiarami jak i afiszowym charakterem, który ma na celu nie tyle względy użyteczności, co poprostu propagandy politycznej. Wśród handlarzy znaczkami, których kwatera mieści się w Nowym Jorku na Nassau Street, (podobnie jak banki mają swą kwaterę na Wall Street) znaczki nowej Polski nie są cenione, istnieje bowiem swego rodzaju inflacja tego towaru, wobec której zarówno cena jak i popyt zamiast podnosić się, spada.